
Z I E M I A

ORGAN POLSKIEGO TOWARZYSTWA KRAJOZNAWCZEGO
DWUTYGODNIK KRAJOZNAWCZY ILUSTROWANY
..... POLECONY PRZEZ MINISTERSTWO W. R. I O. P.



Ryc. 214.

Krzyże przydrożne koło wsi Rusaki.

Fot. L. Sawicki.

NOTATKI KRAJOZNAWCZE Z TERENU OBECNEJ NOWOGRÓDCZYZNY¹⁾. DZIADY, NIEKTÓRE ZWYCZAJE POGRZEBOWE, „MAHIÛKI”.

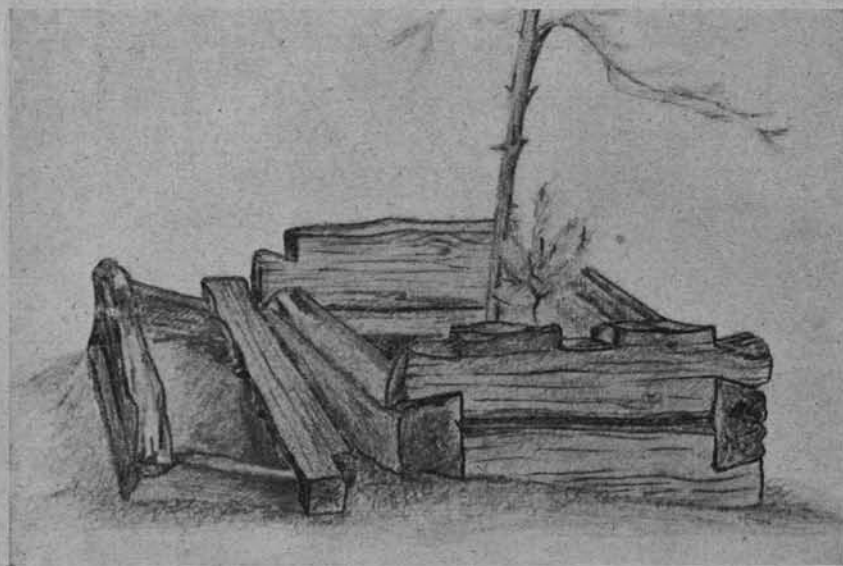
Garść spostrzeżeń, jakie poniżej podaję, pochodzi z miejscowości Mieszycze, Łubień, Rusaki, leżących na południe od m-ka Kamień. Przed wojną był to zapadły zakątek Mińszczyzny, graniczący z dawną gubernją wileńską, położony wzdłuż traktu, prowadzącego do odległych o około 45 km Stołbc. Spostrzeżenia te są wynikiem moich pierwszych, wówczas... bardzo wszechstronnych „badań terenowych”, jakie w latach 1910—1912 systematycznie na tym odcinku Mińszczyzny prowadziłem.

„W ogromie zjawisk, jakie człowieka otaczają, oraz w nim tkwią i składają się na pewien całokształt zwany jego życiem, nic nie wywiera tak silnego wrażenia, jak właśnie ta chwila końcowa życia—śmierć²⁾”. Zjawiska tego nierozumiejąc, człowiek pierwotny stworzył wiarę w życie pozagrobowe, przedstawiając je sobie jako dalszy ciąg życia doczesnego. Głębokim przeżyciom emocjonalnym, wywołanym śmiercią osób bliskich, oraz wierze w ścisłą łączność tych, którzy pozostali z temi, którzy już odeszli — przypisać należy powstanie kultu zmarłych. Pozostałości tego kul-

tu, mimo zmienionych warunków życia i nalu cywilizacji współczesnej, dziś jeszcze odnajdujemy u ludu wiejskiego: czy to w zwyczajach pogrzebowych, czy to w obrzędach związanych z czczeniem pamięci zmarłych, czy to wreszcie w pewnych przesądach oraz opowiadaniach zdarzeń z życia pozagrobowego, a nawet w bajkach przedstawiających to życie.

Śród ludności białoruskiej, zamieszkującej wyżej wymienione miejscowości, istniał przed wojną zwyczaj uroczystego obchodzenia święta zmarłych, zwanego *Dziadami* (7 listopada). Każdy gospodarz wie, którego dnia „*u wòsiani spraułàjuć Dziadý pà wiòskach*” i „*na tój dziań pròsić jon haściej k-sàbie*”. Na uroczystość tę czyni on niezbędne przygotowania: zakława sam prosiaka, zarzyna barana i „*bje piawunà*”. „*Trèba haspadàru try haławy upiaczy i try kwàrty harèuki g-Dziadàm, a haspadýni trèba piàć pàtrau g-haściam*”. Gości gospodarz sadza za stołem, podaje wódkę i głowy prosiaka, barana i koguta, „*a haspadýni niasie swaich piàć pàtrau*”. Nazajutrz „*haspadàr biare chlèba, mienca, bũlki, i wiazie pad kościàu, dàjè dziadàm, a dziadý hàwòràć paciery za zmarlyja dũszy*³⁾”.

W związku z obchodem Dziadów przygotowują specjalne pieczywo obrzędowe—„*pie rapiećki*”⁴⁾, którym obdarowują dziadów pod kościołem. Zasłu-



Ryc. 215.

Szczątki t. zw. „sklepów” na cmentarzu wsi Rusaki. Rys. L. Sawicki.

¹⁾ „Ziemia” № 1, 1929, str. 8—11.

²⁾ Dr. A. Fischer: Zwyczaje pogrzebowe ludu polskiego. Lwów, 1921, str. 1.

³⁾ Wieś Mieszycze i okolice.

⁴⁾ Nazwę tę podaje Ina Sawicka w notatce, dotyczącej obchodu Dziadów w okolicach Mieszyc. „Ziemia”, 1912, str. 765.

guje na uwagę, że u Huculów, którzy pamięć zmarłych świętują uroczystie w niedzielę przewodnią (odpowiada to białoruskiej „Radò ŭnicy”), przygotowywane jest na ten dzień pieczywo obrzędowe (w postaci małych bocheneczków chleba), noszące tę samą nazwę — „perépiczky”⁵⁾.

„Pierapieczki” białoruskie i „perépiczky” huculskie mają to samo znaczenie, co u Chińczyków placki obrzędowe, zwane Tun-ciu-jue-pin — „chleb księżycowy” (jue — księżyc, pin — chleb, tun-ciu — nazwy miesięcy: sierpień — wrzesień⁶⁾). Placki te Chińczycy przygotowują na święto Dziadów (wzgl. — Starców) Ko-paj-die, które według naszego kalendarza, obchodzą 30 września, wieczorem. Placki te wraz z innym jadem wystawiają na niskich stolikach na drogi, przed wrota prowadzące do zagród, gdyż mają one służyć duchom zmarłych przodków za pożywienie.

Wracając do opisu obchodu Dziadów w okolicach Mieszyc, pragnę dodać pewne szczegóły. We wsi Rusaki wieczerza składa się z dziewięciu dań, a mianowicie: pierogów, blinów, „jajeszni”, „maczańnia”, „kućji”, kapusty, „makaronu”⁷⁾, oraz potraw obrzędowych — głowy barana i prosiaka. „Na Dziadach” koniecznie musi być ktoś obcy. Gdy młodzi jedzą, starsi raz po raz odzywają się: „a pakińcie tam dla dziadòu”. Po skończonej wieczerzy resztki jedzenia pozostają na stole, na oknach zaś stawiają po kieliszku wódki.

Prócz Dziadów jesiennych, obchodzono również uroczystie wiosenne święto zmarłych, zwane Radò ŭnic a. Przypada ono we wtorek po



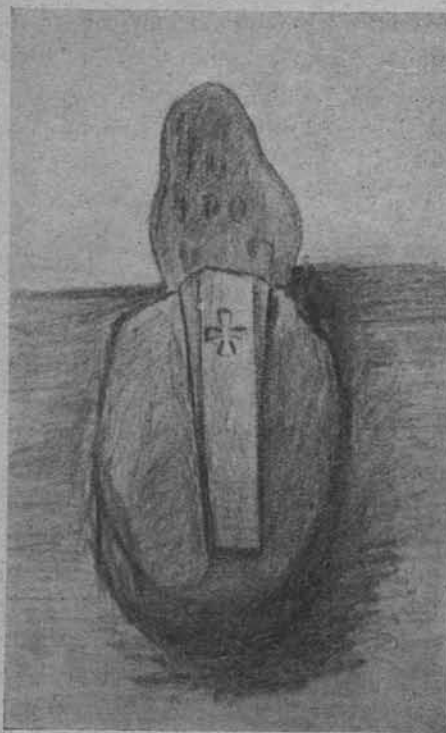
Ryc. 216. Rys. L. Sawicki.
„Kładka” na grobie przybita kołkiem.
Cmentarz wsi Rusaki.

niedzieli przewodniej. Dnia tego pożywienie świąteczne i wódkę oraz dary specjalne, jak tytoń i tabakę, gospodyni związuje w serwetę i niesie na „mahiutki”. Po doprowadzeniu do porządku mogiły rozścielają na niej serwetę i rozkładają jadło, które następnie spożywają na miejscu. Resztki jedzenia pozostawiają na grobie, a prócz tego szczyptę tytoniu lub tabaki, zależnie od upodobań zmarłego. Istniał też podobno zwyczaj lania na grób wódki.

Prócz wyżej opisanych, obchodzono niegdyś jeszcze inne Dziady (w zimie — w wigilję niedzieli mięsopustnej; w lecie — w wigilję św. Trójcy), a nawet Baby, po których to zwyczajach pozostały już tylko wspomnienia.

Z wiarą w życie pozagrobowe związane są liczne przesady oraz opowiadania różnych zdarzeń z tego życia. Jedno z nich, zanotowane we wsi Rusaki, podaję poniżej.

Pewnej kobiecie w Nalibokach umarła córka. Stratę tę odczuła ona tak głęboko, że „ni-jak sabiè miësca najci nià mòhła”. Sąsiadki doradziły jej, „kab janà paszła ŭ dzień zadusny da kaściòła i jak ũsio atrpawicsa schawiała. Heta m àci tak i zrabiała”.



Ryc. 217. Rys. L. Sawicki.
Mogiła z kładką i nagrobkiem kamiennym na
cmentarzu m-ka Rubieżewicze.

⁵⁾ Wł. Szuchiewicz: Huculszczyzna. Lwów 1902. T. II, str. 277.

⁶⁾ Obserwacje własne z okolic miasta Aszyche (prowincja Giryńska) w Mandzurji płn.

⁷⁾ „Makaronem” nazywają zwykle kluski krajane z pszennej mąki.



Ryc. 218.

Rys. L. Sawicki.

Nagrobek na cmentarzu wsi Mieszycze.

W nocy — patrzy idą duszyczki, a wśród nich jej córka, niosąca dwa dzbanki wody.

„A mająsz ty doczeczka, czamuz ty heta tak ciążka pakutujesz?” Ta jej na to: „za toje szto ty mamka mianiè szkadujecie”.

„Taja maci schapiła daczku i bõrdzińka pabiehła da cháty”, gdzie ją „na kuciè pasadziła”. Ta siedzi nic nie je i nic nie mówi, „aż wuścieszno było hladzièc”. Poszła więc owa kobieta do księdza po radę, który jej nakazał, aby „jak prýjdzie toj dziàn” odniosła córkę tam, skąd ją wzięła. Gdy owa kobieta córkę swą zaniósła do kościoła — ta odezwała się w te słowa: „jak wy mianiè mamaczka całyj hõd na pakucie trymáli”, co rzekłszy „samà klùboczkom palecieła”.

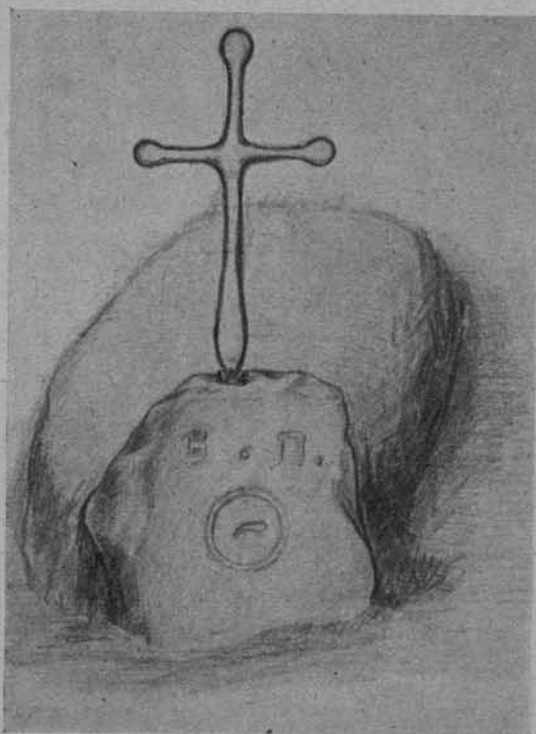
Zmarłego kładą pośrodku izby, na ławie zasłanej obrusem. Pogrzeb odbywa się niezwłocznie, gdy tylko „damawinka” zostanie zrobiona: bądź tego samego dnia, bądź nazajutrz. W tym ostatnim wypadku, przez całą noc pozostają przy zmarłym, palą świece i śpiewają „hadzinki”. We wsi Rusaki jedna z kobiet widziała jak umierającemu, który się przez dłuższy czas męczył, dusza w postaci klębka pary z ust uleciała w górę.

Zmarłemu zamykają oczy, „sztoby nia uhladzièù kòha”. Istnieje przesąd, że kobieta, która umrze przy połogu przychodzi w nocy karmić swe dziecko.

Gdy nieboszczyk jest chowany na miejscu starego grobu, kładą mu wówczas drobną monetę (przed wojną — 2 kopiejki), ażeby mógł się opłacić swemu poprzednikowi.

W rocznicę śmierci obchodzą „upominki”. Krewnych, powinowatych i sąsiadów proszą na mszę żałobną, a potem do siebie przez specjalnego wysłannika, który obchodząc chaty prosi „na chleb, na sól, na żałobny stoù”. Każdy bierze garniec zboża i idzie na „upominki”. Gdy się już wszyscy zbiorą, po modlitwie za duszę zmarłego, nakrywają stoły i częstują różnymi potrawami oraz wódką, piwem i winem. Potem znów się modlą i wiozą „pamiótkę” (krzyż drewniany, lub ociosany głąz narzutowy z odpowiednim napisem) na „mahiuiki”. Po modlitwie na grobie rozdają dzieciom kaszę, przyrządzoną na słodko, której resztki pozostawiają na „mahiuikach”, poczem wracają do chaty kończyć „upominki”.

„Mahiuiki” białoruskie, pełne tajemnego



Ryc 219.

Rys. L. Sawicki.

Nagrobek na cmentarzu wsi Lubień.

uroku, ciszy niezmaconej i przedziwnego smętku, mają w sobie coś, co uwagę zwiedzającego przykuwa, wywołuje głęboką zadumę i skupienie. Położone zdala od drogi, wśród pól, wyglądem swym przypominają odosobnione kępy lasu. Nie jest to zresztą dalekie od rzeczywistości, gdyż niegdyś, gdy pól uprawnych było mniej, a lasów więcej, zmarłych grzebano w lesie. Ślady tego rodzaju cmentarza, po którym tylko pamięć pozostała, pokazywano mi w lesie pod wsią Rusaki, w niewielkiej odległości od „mahiłek” obecnych. Z czasem, gdy w związku z trzebieniem lasów — obszar wolnej przestrzeni się zwiększył, zaniechano grzebania zmarłych po lasach i zakładano cmentarze bliżej wsi, gdyż „niedźwiedzie i wilki nieboszczyków niepokoiły”.

Z pośród znanych mi w tej okolicy cmentarzy — „mahiutki” wsi Rusaki zachowały najbardziej archaiczny charakter.

Z zielonego kobierca bujnych traw i roślinności leśnej: borówek, jagód czarnych i poziomek, wystrzelają po pod zwarte sklepienie konarów majestatycznych sosen, liczne wyniosłe krzyże. Na krzyżach rzeźby Chrystusa ze strzępami fartuszków płóciennych, zawieszanych przez matki, mające chore dzieci. Rzeźby te są dziełem miejscowych snycerzy. Jedne z nich zwracają uwagę swoją prymitywnością, inne zaś ciekawym potraktowaniem postaci Chrystusa oraz poprawnością wykonania. U stóp krzyży — rzędy nasypów mogilnych, które uwydatniają się zwłaszcza w nowszej części cmentarza. W starszej części „mahiłek” na obecność grobów wskazują jedynie małe krzyżyki drewniane, kłody, któremi pokrywano niegdyś mogiły oraz nagrobki z łupanych głązów narzutowych, najczęściej bez żadnych napisów.

„Mahiutki” sprawiają wrażenie miejsca wymazanego zupełnie z pamięci ludzkiej. Panuje tu niepodzielnie przyroda, pod której działaniem poszczególne mogiły tracą odrębności indywidualne i różnice czasowe, gdyż nawet „pamiontki” kamienne, wskutek braku opieki, ulegają



Ryc. 220.
Naczynie wczesnohistoryczne z odcisniętym na dnie rysunkiem.

niszczącemu wpływowi czasu. Jak w tych warunkach odwiedzający te cmentarze odnajdują mogiły swych bliskich — tego zrozumieć niepodobna. Mimowoli nasuwa się refleksja — czy nie ta właśnie okoliczność spowodowała niegdyś potrzebę kilkakrotnego w ciągu roku czczenia pamięci wszystkich zmarłych?...

Nie trzeba głębszych studjów, lecz jedynie uważnego rozejrzenia się w charakterze nagrobków, jakie na „mahiutkach” występują, ażeby z nich odczytać ewolucję pewnych zwyczajów, związanych z grzebaniem zmarłych. Na starych cmentarzach, jak np. we wsi Rusaki, dochowały się szczątki t. zw. „sklepów” (ryc. 215), które reprezentują najstarszy typ nagrobków. Owe „sklepy” były budowane z grubych ociosanych kłód, kładzionych w węgiel „na rybi ogon”. W ścianie szczytowej, frontowej, znajdował się otwór wycięty umyślnie celem umożliwienia duszy wychodzenia na świat. „Sklepy” te bowiem symbolizowały chaty mieszkalne i dlatego stawiano je zmarłym na mogiłach⁸⁾. Szczątki tego rodzaju nagrobków

⁸⁾ Skoro już raz pozwoliłem sobie powołać się na analogię z Chin — niech mi przeto będzie wolno i przy tej sposobności zwrócić uwagę na pewne zbieżności. Oto schinizowani Mandżurowie, zamieszkujący okolice Aszyche, zmarłych grzebią w trumnach naśladowujących

STP
JYZOF
PALIWODA
Z 177. 00
ym 1J011

TUZPOCZI
WAMIHAZ
AWCZYKZY7
733YM 1907

PAMONTK
WOTKI
PAZOCHOW
Z 17A 18TAT
WMAR. 4K

Ryc. 221.

Napisy polskie na nagrobkach kamiennych na cmentarzu wsi Rusaki. Dwa pierwsze od strony lewej — na zwykłych nagrobkach; ostatni na „pamiontce” postawionej z okazji „upominek”. Napis u dołu na pierwszym od strony lewej nagrobku oznacza datę — „um. 1911”.

Rys. L. Sawicki.



Ryc. 222.

Krzyż przydrożny koło zaścianka Laukońszczyzna
(obok wsi Rusaki).

Fot. L. Sawicki.

spotkałem również na cmentarzu m-ka Rubieżewicze. O dawności tych zabytków świadczy fakt, że nawet najstarsi ludzie w okolicy nie pamiętali zwyczaju stawiania „sklepów”. W r. 63 służyły one, podobno, za schronienie ukrywającym się przed władzami rosyjskimi powstańcom.

Być może niezależnie od stawiania „sklepów” miał również miejsce, w związku z grze-

„fanzy” mieszkalne. Chińczycy zaś zmarłych swych grzebią w trumnach symbolizujących łódzie, względnie barki. I jedni i drudzy trumien nie zakopują, lecz stawiają je na powierzchni gruntu i usypują nad nimi niewysokie kurhany. Poza to, istnieje u Chińczyków zwyczaj obudowywania lub obmurowywania trumien, przyczem budowle te mają wygląd miniaturowych „fanzy”. W ścianie szczytowej, podobnie jak w „sklepach” białoruskich, znajduje się okienko dla duszy, poniżej zaś — wnęka, przeznaczona na ofiary i palenie świeczek z masy papierowej. U nas poza omawianym odcinkiem dawnej Mińszczyzny, analogiczne domy dla dusz widziałem jedynie na Polesiu, na cmentarzach żydowskich (o ile pamiętam — m. in. w okolicach Kamienia Koszyrskiego). Wyglądem swym przypominały one chaty wiejskie i w podobny jak one sposób były zbudowane.

baniem zmarłych, zwyczaj kładzenia na „krynicach” i trzęsawiskach specjalnych „kładek”. Pamięć tego zwyczaju dochowała się wśród starszych mieszkańców wsi Rusaki i Łubień. Polegał on na tym, że gdy ktoś umarł, wycinano na kłodzie drzewa zarys stóp nieboszczyka, potem kłodę tą niesiono na łąki, gdzie przerzucano ją, bądź ponad strumykiem, bądź w miejscach bardzo grzązkich, aby służyła za kładkę. Po przejściu takiej „kładki” każdy obowiązany był odmówić „trzy zdrowaśki” za dusze zmarłych. Na łąkach błotnych koło wsi Łubień, w miejscu zwanem „Kładoczki”, pokazywano mi trzy kładki tego rodzaju; ślady jednak stóp były już na nich zatarte.

Z biegiem czasu zwyczaj „kładek” uległ stopniowej modyfikacji. Zaniechano kładzenia ich ponad strumieniem i na trzęsawiskach, poczęto je natomiast kłaść wprost na mogiłach. Z początku były to proste kloce, które później poczęto starannie obrabiać. Zapewne celem uniknięcia niepożądanych odwiedzin, w miejscu, odpowiadającym głowie zmarłego, kładkę przybijano kołkiem drewnianym do ziemi (ryc. 216).

W późniejszej fazie pojawiły się na kładkach krzyże, które bądź wycinano, bądź osadzano w górnych końcach kładek. Faza końcowa zwyczaju kładzenia kładek na grobach zbiega się z pojawieniem „pamiątek” kamiennych, które początkowo występowały łącznie z kładkami (ryc. 217). Nagrobki kamienne w czasach najnowszych uległy również pewnej modyfikacji: pojawiły się na nich napisy oraz krzyże żelazne (ryc. 218).

Ryc. 219 przedstawia mogiłę na cmentarzu wsi Łubień. Nagrobek kamienny, czołem zwrócony ku zachodowi, prócz liter alfabetu rosyjskiego — W. P. („wiecznaja pamiat’”), posiada niezmiernie ciekawy rysunek symboliczny, którego treści nikt z pośród miejscowej ludności nie potrafił mi wyjaśnić. Przypomina on rysunek odcisnięty na dnie naczynia glinianego, znalezione go w kurhanie, w miejscowości Pleszczewice, w pow. borysowskim, gub. mińskiej (ryc. 220)⁹⁾.

⁹⁾ E. Tyszkiewicz: Badanie archeologiczne. Wilno, 1850.

W uzupełnieniu powyższego opisu „mahilek” dodać należy, iż groby stare mają przeważnie kierunek zachodnio-wschodni, przy czym nagrobki zwrócone są stroną czołową na wschód. Obok mogił zorientowanych odmiennie, występują groby reprezentujące niejako połączenie starej tradycji z nowszymi wpływami. Przykładem tego jest wyżej wspomniana mogiła z Mieszyc, z „pamióntką” zwróconą ku zachodowi (ryc. 219).

W latach 1910 — 1912 większość mieszkańców wsi Rusaki, Łubień oraz zaścianka i wsi Mieszycy — była wyznania rzymsko-katolickiego. Przed r. 1905 stosunki pod tym względem

były odmienne, gdyż znaczna część ludności okolicznej, na skutek nieustannych prześladowań religijnych ze strony władz rosyjskich, zmuszona była przyjąć religię prawosławną. Obok silnego przywiązania do katolicyzmu, dochował się tu do czasów wielkiej wojny pewnego rodzaju kult dla wszystkiego co polskie. Mowa polska uważana była za „pańską”, białoruska zaś za „prostą”. Uczono się więc chętnie języka polskiego, oczywiście — pokryjomu i, najczęściej — na książkach do nabożeństwa. Jak ta nauka wyglądała — świadczą o tym napisy nagrobków na cmentarzach wiejskich, których próbkę podaję (ryc. 221).

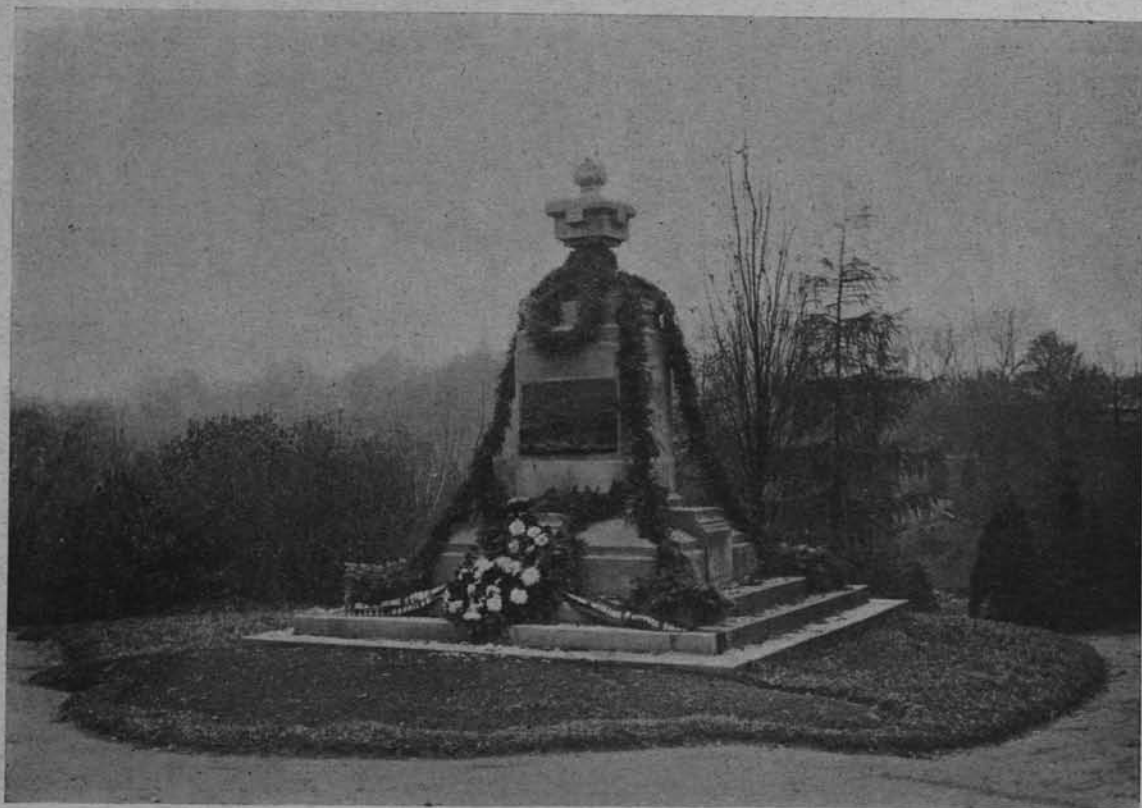
DOMINIK BINDER.

G Ł A Z Y M Ó W I A ą .

Życie tak chybkó mknie koło nas, że prawie nie zastanawiamy się nad tem; trzeba dopiero, byśmy stanęli nad spokojną mogiłą, rzuconą w krajobrazie, na której parę zazwyczaj słów i data zatrzymały bieg naszej myśli,

byśmy cofnęli się wstecz, to są chwile, kiedy wycofamy się z życia codziennego — głązy przemawiają do nas.

Dużo po polach Polski leży głązów, o które potknął się niejednen wróg, dążący do jej



Ryc. 225.

Włocławek. Ogród Miejski.

Fot. K. Szałwiński.

Pomnik por. Stanisława Becchie, dowódcy wojsk powstańczych, rozstrzelanego 16/XII 1863 r.



Ryc. 224. Pomnik por. Cieszkańskiego, Fot. K. Szatwiński.

wnętrza po serca jej obywateli, są to właśnie te serca poległych, opowiadające dzieje narodu od najdawniejszych do ostatniej chwili.

Głazów tych po ubiegłych wojnach przybyło znacznie.

Weźmy choćby okolice Włocławka. Przy drodze do Kowala „na Piaskach”, stoi opuszczony krzyż, na który miejscowa ludność wskazuje, że jest to miejsce trwania powstańców.

Włocławku! Masz wielkie serce, gdyż stoją już głazy na cześć Stanisława Becchiego, pułkownika wojsk powstańczych okolic Włocławka, włocho z urodzenia, Obrońcom Wisły z 1920 r., poległym 14 p. p. za 1918—1920 r.

Zwiedzającego Włocławek jeszcze zatrzymać powinien jeden szczegół z czasów zmagania wyzwalającej się Polski — mogiła porucznika Cieszkańskiego naszej młodej marynarki.

Legł on na starym szlaku nieszawskim, grodząc swem sercem drogę do serca Polski, nie Prusakom, Krzyżakom lub Moskałom.

Padł od kuli rosyjskiej armii czerwonej, wyzwolonej od jarzma caratu, a jednak chętnie wyciągającej ręce po włości wolnego ducha polskiego. Padł nie wiedząc, że to ostatnią ofiarę, ostatnie tchnienie położył na szalę zwycięstwa. Pomniki takie powinny zatrzymać każdego turystę zwiedzającego Polskę.

Głaz taki, leżąc pod krzyżem przydrożnym z czasem omszeje i przejdzie w legendę.

Lud tutejszy będzie opowiadał legendę o dzielnym rycerzu XX wieku, który bronił dostępu do serca Polski nawale dziczy czerwonej. Jak ziemia rodzinna udzieliła tułaczowi, powracającemu do Ojczyzny, przytułku dla stroskanego serca.

Potężny głaz z wyciosanym napisem tyle podsunął myśli.

Znikły tłumy i delegacje, rozjechali się do pracy obywatele okoliczni. Wisła wartko mknie swą prastarą drogą. Samotny głaz na lewym brzegu niesie hasło sterczącym na prawym brzegu zwaliskom, mówiącym o dawnych bohaterach, hasło Polski, a otrzymuje szeptem fal nadbiegających od stóp starej twierdzy oblanej potem i krwią pradziadów drzew.

Czuwaj!...



Ryc. 225.

Włocławek. „Psia Górka”.
Mogiła 60 poległych „Obrońców Wisły”

Fot. K. Szatwiński.

SABAŁOWA ŚPIEWKA¹⁾.

Jakosi to bęło w listopadzie przed zaduskami ci po nik, tego juz nie bocem dzisiok. Siedzieli my sička w izbie z wieczora, jo i zona i dzieciska. Na polu siéłło²⁾ déscem i wia-ter jesieny duł³⁾, jako to zwyczajnie o taki cas. Markociéłło⁴⁾ sie nom, bo to fte⁵⁾ roboty ni-jakiéj ni mos, spać jesce nie cas, na pogwar-ke do somsiadów téz nie pudzies, bo ftozby po takiéj psocie⁶⁾ hodziéł? Siejdzse se w dó-ma, kie na dródze i psa niewidno.

Godo ku mnie zona:

— Słésis, stary, fto si capko kyrpcami po błociel!

Cekom, kogo Pombóg prowadzi. Zaburzéłło po dżwirzak. Patrzem: whodzi Sabała do izby.

— E, witojciez, witojciez — gwarzem ku niemu. — A dyć juz my sie miesiąc nie widzieli! Juzek godoł mojęj, zeście héba pomarli ci jako.

Na małym ino shéłku⁷⁾ — odpedioł Sabała Jasiek, jakoze to fse⁸⁾ rod śmihy strojy⁹⁾. — Hej, Jędrzku, juz ta po mnie odka-zowali stamstela¹⁰⁾, jeleze¹¹⁾ to staremu i cas. Bars sie mi to piyknie widziało, ale posłańcowi jek pedzioł, co jesce haw na tobie zajzrem. Pote hyboj¹²⁾ do nieba!

Béł Sabała fte trohe przinapity. Doloł se kajsi do cuby¹³⁾ w karcmie ci u gości, bo go sička radzi ku sobie prosili. Toz to brojéł fte co raty! To béł dziwny człowiek i cołke niezwycajny. Śpiywonke to wom wyzdajoł ze sobie wocimieniu¹⁴⁾, kielo ino kcioł. A bojek to co dzień inksom wiedzioł pedzić. Tak to mu wej sło, jako inemu nieprzikładajęci¹⁵⁾ je-dzénie. Wiécie, kielo to ik, tyk bojek Saba-łowyk Stopka¹⁶⁾ pospisoł. A co jo durkowol po gazetak, to sičko same opowiodki nasłu-hane od Sabały, kie my ś nim nieozerwanie tele casi towarziséli. Bo jo béł jemu przijo-ciel. Ale to ino pozwybiérane kawolki, bo powiém wom, kiebyk ino mioł cas potemu, tobyk potrefiéł o Jaškowi o Sabale fure pa-piru napsuć. Ale coz! Kie człowiek bez te sta-re oci juz ni mo zdanio¹⁷⁾ do piśmoków¹⁸⁾.

Tak to bęło i fte, w tén wieczór jako wom godom. Sabała béł wesół, śpiéwoł, groł, boj-

ki cim roz inkse opowiodoł, to zaś na gęślic-kak, co ik nosiél w rękawak cuhy, groł sta-roświeckie nuty. Uśmioli my sie mu, bo my sička radzi widzieli, kie nos ozweseloł. Jaze zaś wzion gęślicki, wrzeci¹⁹⁾ wyśmiéwajęci mnie, uzdajoł²⁰⁾ takom nute:

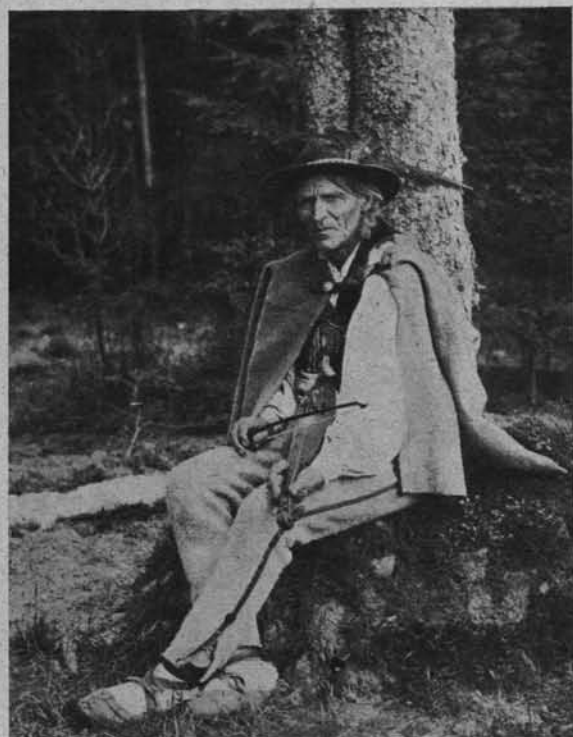
Nieboroczek Télka
Mioł owiecek kielka,
Przisała na nie skoda,
Zabrała ik woda.

Ej, bęło śmiéhu! Widziała sie nom²¹⁾ ta nuta. Toz to jom Sabała co ino roz wygro-woł na swoik zlóbcokak²²⁾.

A to bęło ostatni roz jak ku mnie zaseł. W grudniu jakosi z pocátka miesiąca zawie-źlimy Sabałe nieboscika na brzyzek²³⁾. Zol béł po nim okrutny i płac. Przibocéłek²⁴⁾ se fte, kiek du domu zaseł ze smętorza, tén ostatni wieczór i tén Sabałowom nute ostat-niom.

Wiécie, ze mi jom jesce roz zaśpiywoł.

To tak bęło. Bęło to w zadusne święto. Wrócilimy późno wieczór du domu z Pękso-



Ryc. 226.

Sabała. Ze zb. Muz. Tatrzańskiego.



Ryc. 227.

Zakopane, Stary cmentarz.

Fot. J. S.

wego brzyzka²⁵), ka my sie pomodléli za du-se rodziców i krewnyk i przyjocieli. Okropno powikrzica²⁶) béla fte, noc ciemniučko bez gwiozd, wiatér strašnie duł i gwizdoł w ko-hu²⁷). Łomało drzewa i łupkało²⁸) dźwirzami co cud. A tak gonty trzescały na dahu, co sie casem widziało, ze cisto piyknie cały dak poozruwo. Case sie zaj²⁹) zacisęło, a pote snowa³⁰) to samiučko.

Nogle zawyło wiatre, łupło dźwirkami do obory i w dachu strzescało. A z drógi doleciało ku nom jakiesi śpiéwanie.

Zje kiz im djabli ze śpiéwkami o taki cas! — méślem se. I citom daléj jakomsi książke.

Ale tu śpiéw sléhno ciągle. Nie przestaje, ba coroz bližéj ku nom.

Tak podnosem głowe od książki i wsłuhujem sie za tym głosem. Ozróžniom juz znanom nute, pote kieniekie³¹) jakie słowo. Jaze naroz na dródze przy samym domie ozlégo sie:

Nieborocek Télka
Mioł owiecek kielka,
Przisała na nie skoda,
Zabrała ik woda.

Ej, na mój weru³²)!

Zona skrzyknéna: Jasiek śpiéwo!

No i prowda! Dyj to i głos Sabałów i Sabałowo śpiéwka.

Cisnem jo książke. Wy-leciołek z izby bez ogród na dróge. A zona za mnom sła. Ale coż! Niewidno nikogo ani niésłéhno nika nic, ino čma³³) wielgo i wiatér hulo. Sprzepatrzowalimy cisto piéknie dróge, poziéralimy i na prawo i na lawo. Pytoj Boze, nima i nima.

A przecie to bél jego włośniutki głos, trohe zahrypnyony i drząci od starości!

Stołek tak dobrom kwile napośród wiatru i patrzem. Zona wróciła do izby, a jo jesce prógowoł wypatrzeć i oczami świdrowoł po ómie, ciby jako nieboscika przyjociela nie uwidzieć. Ale śičko béło popróžnici³⁴). Tak zabrołek sie iš(ć) ku hałupie.

Przisełek przede dźwirze i, wiécie, kiek juz łapiel za zoworke³⁵) i fciol weńść, naroz — het na dródze, kajsi popod same regle, hań popod tén las smrekowy, — ozwoł sie jesce roz Sabałów Jaśka głos śpiéwający:

Nieborocek Télka
Mioł owiecek kielka,
Przisała na nie skoda,
Zabrała ik woda.

¹) Opowiadanie Andrzeja Tylki Suleji z 1913 roku. ²) silito deszczem — padał gwałtowny deszcz; ³) wiał; ⁴) nudziło się; ⁵) wtedy; ⁶) niepogoda; ⁷) niewiele już brakowało; ⁸) zawsze; ⁹) żartował; ¹⁰) posyłali po mnie stamtąd t. j. z nieba; ¹¹) jakoże; ¹²) jazda do nieba; ¹³) hybać — iść spieszo, spieszyć się; ¹³) zalał trochę pałkę; ¹⁴) wokamgnieniu; ¹⁵) nieporównując; ¹⁶) Andrzej Stopka „Sabała. Portret, życiorys, bajki, powiastki, piosenki, melodie”. Kraków, 1897. ¹⁷) łatwości; ¹⁸) do pi-sma, pisania; ¹⁹) rzekomo; ²⁰) ułożył; ²¹) podobała się; ²²) gęślikach, skrzypeczkach; ²³) brzeżek, cmentarz; ²⁴) przypomniałem sobie; ²⁵) Pęksowy brzyzek — tak się nazywa część Zakopanego, gdzie się znajduje stary cmentarz; ²⁶) huragan; ²⁷) w kominie; ²⁸) trzaskało; ²⁹) zaś; ³⁰) na nowo, znowu; ³¹) od czasu do czasu; ³²) zakłęcie; ³³) mrok, ciemność; ³⁴) nadaremnie; ³⁵) klamkę, zamknięcie.



Ś. P. HELENA CICHOWICZOWA.

Niesłychany terror niemiecki na ziemiach polskich poczyniłby niepowetowane straty w stanie posiadania materialnego i duchowego naszego narodu, gdyby nie ideaowa ofiarna praca entuzjastów, którzy swe szlachetne dążenia przeciwstawiali agresji pruskiej.

W dzielnicy, pozbawionej wyższej uczelni polskiej, promieniowało światło kultury narodowej w instytucjach naukowych i społecznych, podtrzymywanych przez gorąco czujące duchy i podniosłe serca.

Takim gorącym duchem była zmarła w dn. 11 września r. b. ś. p. Helena Cichowiczowa, założycielka i prezeska Towarzystwa Ludoznawczego w Poznaniu.

„Pełna poświęcenia, a bezinteresownej pracy, ożywionej najczystsza miłością rzeczy ojczystych i gorącym przywiązaniem do kraju”, ś. p. Helena Cichowiczowa stworzyła poważną placówkę naukową, a mianowicie Towarzystwo i Muzeum Ludoznawcze w stolicy Wielkopolski.

Dzięki tej inicjatywie zdołano ocalić szczątki swoistej kultury ludowej, beznadziejnie zalwanej przez fale szarej codzienności życiowej.

Przy bardzo minimalnych środkach materialnych, lecz wielkich skarbach duszy, zdołała ś. p. Cichowiczowa zgromadzić cenne zbiory ludoznawcze, które wypełniały poprzednio dwie sale w Muzeum Mielżyńskich, a obecnie tworzą Dział Ludoznawczy Muzeum Wielkopolskiego.

Nie zasklepiła się

dostojna Zmarła w sympatjach i działalności dla jednej tylko dzielnicy, potrafiła wznieść się nad taką małostkowość, wzbogacając nagromadzonymi przez siebie materiałami także i Muzeum Etnograficzne na Wawelu.

Działalność naukowa i społeczna ś. p. Cichowiczowej przypadła właśnie na czasy rozpętanej orgji ucisku hakatystycznego, co tem bardziej podnosi zasługi zmarłej etnografki, wydobywającej z ukrycia i przechowującej okazy rodzimej kultury i ukazującej je światu na dowód wysokiej jej wartości.

Bez inicjatywy ś. p. Cichowiczowej ostatnie szczątki, ostatnie zabytki twórczości ludowej w Wielkopolsce zginęłyby i utonęły w zapomnieniu. Ta działalność o doniosłym znaczeniu narodowym otoczyła postać Założycielki Towarzystwa Ludoznawczego szczerą sympatją i szacunkiem nie tylko Wielkopolan, lecz i wszystkich Polaków, głęboko odczuwających walory swojszczyzny.

To też zgon ś. p. Heleny Cichowiczowej obudził żal powszechny, a wyrazy współczucia od rozumiejących wartość Jej prac skierowały się z jednej strony ku Towarzystwu, któremu sterowała, z drugiej zaś ku pogrążonej w żałobie Rodzinie, a zwłaszcza p. Wiesławie Cichowiczównie, która była dzielną współpracownicą swej zasłużonej Matki.

W tym kierunku zwraca też wyrazy współczucia Polskie Towarzystwo Krajoznawcze i jego organ „Ziemia”.



Ryc. 223. Ś. p. Helena Cichowiczowa.
Prezes Tow. Ludoznawczego w Poznaniu.

WŁÓCZĘGI KRAJOZNAWCZE OPOWIADAJĄ...

PRZYGODY TURYSTY.

Gruby zmrok począł siać się na ziemię ze sita gwiazd błyszczących na niebie. Cokolwiek obdrapany i szczerze zaniedbany ratusz sandomierski, pod którym staliśmy, począł się owijać coraz szczelniej w grubą, puszystą oponię ciemnego bezksiężycowego wieczoru i odkreślać wyraziście na tle granatowej kopuły niebieskiego przestworu. Dobrotliwa ręka nocy sierpniowej kładzie swój tusz mistrzowski na pogięty, wyboisty bruk rynku, na brudne ściany domostw ustawionych w czworobok i upstrzonych krzykliwymi godłami sklepów. Stopniowo znika wszystko, co tak raziło oczy w świetle dnia: zaniedbanie, opuszczenie, zaśmiecenie, niepamięć o swej godności, która z tylu wieków wyrosła — nieumiejętność wykorzystania tych wspaniałych darów, jakimi sama przyroda uposażyła ten gród starożytny, dając mu górę pełną wąwozów fantastycznych, opasując go rzeką pełną dziewiczego uroku, rzucając pod jego posady ziemię przysłowiowo urodzajną,

Jest to pora nadejścia statku, na którym mamy nocować. W mieście jest tylko jeden hotel, w rękach starozakonnych i wypełniony starozakonnymi do ostatniego pokoju. Ale na statku nocleg w kabinie zapewnia pewien stopień wygody, nie ma powodu do narzekań.

Na rynku sandomierskim stoją dwa Fordy z wytrzeszczonemi, ognistemi oczyma. Pakujemy się do jednego z nich i zjeżdżamy do przystani.

Przy płaceniu wypływa kontrowersja. Szofer utrzymuje, że taksa należy mu się od każdego z gości z osobna.

Przykre nieporozumienie przemija, opłacone takszą podwójną. Wchodzimy na prom z przystanią. Rozpoczyna się oczekiwanie na statek, ma on przyjść o godzinie dziewiątej wieczorem.

Ciemna toń wody płynie równym szerokim gościńcem, widnym daleko, aż po most kolejowy, odległy o trzy kilometry. Oddaje ona teraz swe ciepło dzienne, wyraźnie wyczuwal-



Ryc. 229.

Sandomierz. Dom Długosza zbudowany w r. 1476

Fot. St. Rodowski.

ne w powietrzu chłodniejącym. Czar wody ogarnia, rozmarza jak strumień muzyki na przyciszonych instrumentach. Fale biją zlekka o burtę promu, słychać cmokanie ryb. Czasem jakaś łódź przesunie się po tym ciemnym ruchomym żywiole, czasem ptak przeleci na drugi brzeg zakrzewiony.

Obok naszej czwórki krajoznawczej, zwiedzającej te strony po raz pierwszy w życiu, zjawia się na przystani jeszcze jeden podróżny: szczupła, drobna osóbką nauczycielki z Wilna. Samotna podróżniczka. Korzysta z czasu wakacyjnego i zwiedza swój kraj.

Statek jeszcze nie nadchodzi. Wychodzimy na brzeg wysoki, aby się rozruszać, powietrze robi się coraz chłodniejsze. Nad nami majaczy wysoka zwarta biel zamku. Krzywousty tu przebywał, Leszek Biały mieszkał, Kazimierz Wielki mury wznosił. Dziś więzienie... Kiedyż zdejmiemy z niego piętno kaźni, kiedy przywrócimy tę czcigodną budowę do jej należnej godności?

A jaki los czeka dom Długosza, tę najstarożytniejszą budowę w Sandomierzu, w całości na szczęście zachowaną, ale w takim zaniedbaniu i na takim skraju grożącej mu ruiny, że wstyd pali i spokoju nie daje. Mieszkańcy powybijali w tym przepięknym zabytku (1476) nowe otwory na okna, na rury od pieców. Czy to lokatorzy dochodowi? Dom jest własnością Kurji biskupiej. Długosz był księdzem. Dom zbudował dla kultu śpiewu kościelnego, w którym się, jak wiadomo, kochał. Wielka to, bardzo wielka ujma dla całego duchowieństwa bogatej diecezji sandomierskiej, że tego zabytku swego ani uszanować, ani dźwignąć i odnowić nie zdołało. Składam na ten cel wstydlive, skromne 10 złotych i proszę Szanowną Redakcję o inicjatywę w sprawie składek.

Tak rozmyślając i rozmawiając, wypatrujemy statku w ciemnej otchłani nocy. Jest już godzina jedenasta. Wracamy do przystani. Dwóch funkcjonariuszów żegluga przechadza się po promie, bada daleki brzask na wodzie. Statek nadchodzi. Otucha wstępuje w nas. W pół godziny później nadpływa oczekiwany parowiec i skręca do przystani wojskowej. Zawód.

Zapytujemy urzędników ruchu, czy przystań Sandomierska bywa uwiadamiana o opó-

źnianiach i przeszkodach w ruchu. Okazuje się, że niema żadnych podobnych urządzeń.

Jest już zapóźno, żeby pukać do Schroniska Tow. Krajoznawczego. Czekamy dalej. Od czasu do czasu coś tam majaczy w oddali, nadzieje drzemiące budzą się i znów zasypiają. Wreszcie podnosi się, jak poeci mówią — okręt nocy. Wypływa na chłodny błękit łukowatą nawa, całą w blasku elektrycznym. W powietrzu coraz chłodniej. Z rzeki podnosi się mgła i trzyma dość nisko nad wodą.

Jest po północy. Jeden z urzędników zaofiarował nam swoją maleńką kabinę. Umieszczamy tam dzieci i idziemy szukać owej wileńskiej nauczycielki. Znajdujemy ją w składzie towarów, śpiącą snem sprawiedliwych na jakiejś pace.

Znów rozpoczyna się czekanie, drzemanie i spacerowanie, Trwa to do rana. O godzinie piątej wstaje z wody na horyzoncie ogromne, rozżarzone słońce, w grzywie promieni, jak zbudzony lew, podnoszący głowę. W pół godziny później zjawia się statek oczekiwany.

Jest osobowo-towarowy. Należy do Zjednoczonej Żegluga Polskiej. Niemniej takse każę sobie płacić taką samą, jak na komfortowych statkach osobowych. Dlaczego nie przyszedł na czas? Bo nabrał tyle towaru, że noc go zaszła na przystani najbliższej Sandomierza. Statek nie planeta, nie musi krążyć regularnie.

Ruszamy wreszcie w dół rzeki, prawie nie czując zmęczenia dzięki świeżości i czystości powietrza na wodzie. Jak się teraz wielki strumień wiślany wdzięczył i pysznił w słońcu i błękiecie, jakie zataczał kręgi i półkola, jak się marszczył, pogłębiał i mienił, jakim blaskiem niezrównanym wysrebrał, jak niósł nasz statek na swej ruchomej gładziźnie i to go do brzegu zbliżał, to znów od niego oddalał; jak nad jego brzeg urwisty schodziły się chaty, podobne do istot żywych, które same z tej ziemi wyrosły, grubą strzechą i narożami, czasem zdala do żubrów podobne; jak mijaliśmy wysmukłe wzgórze Zawichostu i Raków ongiś słynny, i zamek Firlejowy i tyle innych gniazd i siedzib godnych osobnej elegji; jak się ten brzeg wiślany to stroił to obnażał, łożą szumiął, topolą nadwiślańską zarastał, jak się te wody połyskliwe rozbiegały i rozplatały niby kosa włosów, rozpuszczona na plecach łąch

piaszczystych; w jakie ta rzeka rozłożyła się czasem urastała jeziora i zalewy, puste i odludne, jakby z Bolesławowskich czasów wynurzone; jaka cisza, pełna rzeźwości i blasku, wypełniała ten ruch, milczący jak we śnie; wszystkiego tego Muza moja poniechać musi z żalem utrapionym, a zawrócić do głównego swego tematu. Artykuł mój ma być tylko przyczynkiem i ilustracją przygodną do dyskusji o warunkach w jakich dzisiaj znajduje się nasza turystyka w kraju — nad czem tak łamał ręce bolejące ostatni kongres krajoznawczy w Poznaniu.

Przystąpmy przeto do rzeczy. Na jednej z najbliższych przystani zawałono nam pokład wielkim ładunkiem owsa. Statek żeglugi żydowskiej pominął go przezornie, znając stan wody na Wiśle. Nasze dzielne „Raclawice” zabrały go, taka bowiem wyszła instrukcja z zarządu Zjednoczonej Żeglugi Polskiej, żeby „brać wszystko”. Na stacjach następnych zabrałiśmy oczywiście wszystkie ładunki owoców, jak im się to słusznie należało. Statek, mając szereg mielizn przed sobą, o głębokości 75 cm. a nużając się na 80 cm., tarł brzuchem dno i grzął co kilometr. Następował gwałt wśród załogi, biegania po pokładzie, drągi i łańcuchy szły w ruch, traciło się conajmniej kwadrans czasu — aby trochę niżej powtórzyć tę samą operację. W ten sposób zajechaliśmy do Puław na podwieczerek. Według rozkładu żeglugi mieliśmy tam być o godz 3 pp., a odjechać do Warszawy po dwugodzinnym prześzło postojem. Teraz przystanęliśmy na kilkadziesiąt minut jedynie, aby nadrobić opóźnienie. Odwiedzenie Kazimierza Dolnego samochodem musiało odpaść, nawet na rozejrzenie się po Puławach brakło czasu. Jedno tylko spostrzeżenie „krajoznawcze” można było wywieść z samego miasteczka: że na widok zwie-

dzających turystów, wszystkie ceny żywności podskakiwały o 50 i 100%.

W Puławach „Raclawice” dobrały jeszcze ładunku. Kapitan próbował protestować, powoływał się na pasażerów swego statku. Kasjer odpowiedział mu nato: Komu się nie podoba, może nie jechać.

Dobrze to obrazuje stosunek zarządu Zjednoczonej Żeglugi Polskiej do publiczności i sposób pojmowania swoich zadań.

Skutek takich zasad społecznych i fachowych nie dał długo na siebie czekać. Tym razem ugrzęźliśmy za Puławami tak gruntownie, że przepędziliśmy na mieliznie noc całą i połowę następnego dnia. Aby ruszyć z miejsca, trzeba było wynająć barkę u rybaków, przeładować na nią część towaru, zmniejszyć w ten sposób zanurzenie, przepłynąć mieliznę i znów władować towar z barki na statek. Ten sam proceder powtórzył się drugi raz na drugiej mieliznie.

W ten to sposób, w ciągłym rozruchu i stukaniu zmęczeni niepewnością, dobrnęliśmy do Warszawy na drugi dzień o godzinie 9 wieczór. Droga z Sandomierza do Warszawy w dół rzeki trwała 39 godzin, przy zupełnym zlekceważeniu interesu publiczności, przy najwyższej taksie za przejazd i bezmyślnem stosowaniu zasady jak największego zarobku.

Żeby ten stan rzeczy zmienić na lepszy, trzeba o nim mówić i trzeba pisać. Do przyjemności to nie należy, ale innej drogi niema. Wejdzmy na nią. Wszakże tu chodzi o Wisłę. Tę orlicę naszych rzek trzeba uczynić dostępną, objąć organizacją taką, żeby stała się najpierwszą u nas drogą do poznawania kraju od jednej naszej granicy do drugiej. A gdy się załatwimy z Wisłą, przejdziemy do jej dopływów: Dunajca, Sanu, Bugu i Narwi. (g).

Z POWSZECHNEJ WYSTAWY KRAJOWEJ.

Garncarstwo ludowe na Powszechnej Wystawie Krajowej. Towarzystwo Popierania Przemysłu Ludowego wystąpiło na P. W. K. z pokazem garncarskim, dającym wgląd w najważniejsze typy ceramiki ludowej. Pojęto po-

kaz ten naukowo, a zarazem zaopatrzone go w potrzebne wskazówki, tak, że każdy fachowiec czy laik mógł zorientować się ogólnie w sposobach i rodzajach wytwórczości, wartości użytkowej i estetycznej przedstawia-

nych typów. A było ich niemało: z Polesia, Huculszczyzny, Nowogródzkiego, Warszawskiego, Łowicza i t. d.

Zwracały powszechnie uwagę naczynia z Polesia, o kształtach archaizujących, o ciemnej, lekko błyszczącej powierzchni, która przypominała grafitowane naczynia z epoki rzymskiej. Horodno zwłaszcza, jako poważny, a bardzo dawny ośrodek garncarski, dostarczyło nietylko naczyń o pięknych kształtach, lecz i różnorodnych pod względem rodzaju glinki i zdobnictwa. Ist-

nieje bowiem 40 gatunków glin horodeńskich, czem tłumaczyć można bogactwo typów. Najślynniejszymi garncarzami Polesia są obecnie Jan Kisiel i Paweł Pieszko, a dobre mają tradycje, skoro już królowa Bona nadała garncarzom poleskim przywileje.

Naczynia poleskie, jako bardzo w prymitywizmie swoim dekoratywne, rozrzucano po salach Przemysłu Ludowego, gdzie ciemna ich powierzchnia kontrastowała znakomicie z silnymi barwami tkanin i strojów. W sali garncarstwa jako typowych reprezentantów oglądaliśmy: 1) dzban, 2) czarę, 3) misę i 4) garnek. Tenże z delikatnej glinki, o jasnym szkliwie, z liniami horyzontalnie biegnącymi naokoło górnej części brzuśca i na szyjce, wyposażono jeszcze typowym dla tego rodzaju ornamentem liściastym, który osiąga się, przykładając lekko do naczynia koniec koguciego pióra, maczanego w farbie. Naczynia czarne, dymione mają ornamentację bardzo różnorodną, zajmującą najczęściej całą powierzchnię naczynia, lub też jego część, przyczem wzory geometryczne przeważają. Piece do wyrobu tych naczyń są beczkowe, a oprócz wyrobu naczyń kwitnie kaflarstwo.

Drugim, ciekawym, a bogatym ośrodkiem garncarstwa to Huculszczyzna. W Kutach (woj. stanisławowskie) do dziś dnia pracuje z powo-



Ryc. 230.

Rys. Ludomila Kusztelan.
Ceramika poleska.

dzeniem kilkunastu garncarzy licząc na łatwy zbył u letników.

Techniczna strona ceramiki w Kutach stoi najwyżej. Z innych miejscowości garncarskich Huculszczyzny warto wymienić Pistyń (woj. stanisławowskie), gdzie pracuje garncarz Piotr Koszak i Kossów z kilkunastu garncarzami, wśród których są Polacy i Rusini. Obecnie słyną najwięcej Antoni Marjasz, Józef Baranowski, Biłeczki i Ćwitek, w ubiegłym stuleciu sławą garncarską na Huculszczyźnie cieszył się Bachmiński

(1820 — 82). Z Kut wystawiono wazę z naryciem o dwu uchach, zdobioną w górnej części żłobkami o ciemniejszej barwie, dalej naczynie przypominające w kształcie prehistoryczne flaszki z kryzą. Ucho wydłuża się jakoby w pierścień opasujący szyjkę. Pobiałka naczynia różano-biała, ornamentacja dość ciekawa: na szyjce wianek z kropek, pod nim ornament wyobrażający jakoby ćwierć jaja rozkrojonego, niżej wianek z liści, ornament kropkowany, pod nim trapezy łączone kropkami, następnie ornament szeroki, pionowy z kropek, a u dołu podstawy podwójne koła. Całość sprawia wrażenie estetyczne. Pod naczyniem tem na niższej półce umieszczono czarę na szerokiej płaskiej nóżce, zdobioną również bogato trójkątami i kropkami z dodatkiem ornamentacji roślinnej. Na nóżce naczynia litery D. M. są zapewne inicjałami garncarza. Jako inny rodzaj występuje misa glazurowana, zdobiona jak i wyżj opisane naczynia—ornamentem geometrycznym i roślinnym. Dwa małe garneczki z polewą szklistą dopełniają pokazu.

Z Pistynia wybrano na eksponaty 1) dzban z szkliwem, ornamentowany wzorami geometryczno-roślinnymi w kolorze żółto-zielonym, 2) talerz, 3) dzbaneczek, 4) dzban i 5) czarę.

Na szczegółowszy opis zasługuje talerz z or-

namentem figuralnym. Na dnie talerza widnieje wyobrażenie biskupa z księgą w ręku, w kapie na głowie, z mitrą. Do twarzy biskupa zbliżają się kwiaty na długich łodygach, naokoło talerza biegnie ornament roślinno-geometryczny. Całość utrzymana w kolorach liljowo-zielono-żółtym sprawia wrażenie estetyczne mimo wybitnego prymitywizmu.

Drugim ciekawym okazem tego działu był talerzyk z kogutkiem na dnie. Zwraçała też uwagę czarka pięknie zdobiona wzorem podobnym do rzeźbionych, pięciolistnych ozdób, jakie znamy z sosrębów w chatach góralskich.

Jako trzeci, wybitny ośrodek garncarski na Huculszczyźnie wybijają się Kossów, gdzie wyrabiają naczynia i kaffe w piecach leżących, dobrego systemu. Obecnie jednakże zaznacza się upadek smaku w Kossowie, mimo dawnych dobrych tradycji. Wartość techniczna wyrobów kossowskich jest niewielka, gdyż naczynia są przecieklawe.

Nadesłano z Kossowa:

1) dzban duży, z polewą biało-szarawą, zdobiony kreskami zielono-żółtymi i brązowymi, kropkami i ornamentem roślinno-geometrycznym,

2) płaski talerz z malowanym na dnie kwiatem w doniczce,

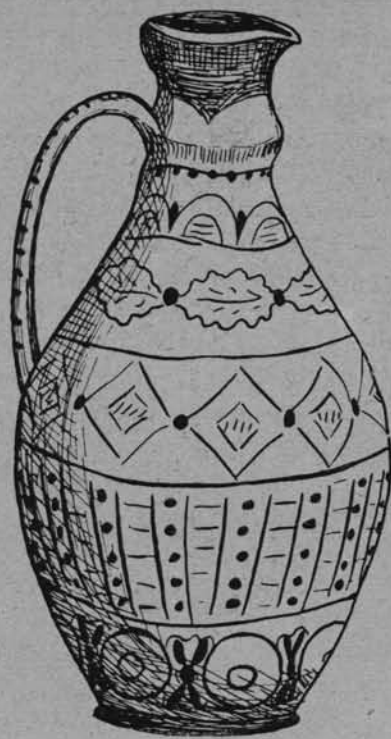
3) dzbanek żółto-zielony,

4) naczynie tykwowate,

5) i maleńki dzbaneczek szeroko-otworowy.

Ceramika huculska, którą reprezentował cały szereg okazów w różnych salach Przemysłu Ludowego odznacza się jasnością barw z przewagą żółto-zielono-brązowej i bogatą, całą powierzchnię naczynia zajmującą ornamentacją. Jest w tem zdobnictwie huculskim znaczny rozmach, obok pewnej jednolitości w tonacji i duża różnorodność pod względem formy naczyń.

Śledząc dalej typy ceramiczne w przedziałach regału przenosimy się w inną część Polski, a mianowicie w Nowogródzkie, gdzie gar-



Ryc. 231. Rys. Ludomiła Kuzstelan.
Ceramika huculska.

carstwo jest we wszystkich wsiach do dziś dnia uprawiane. Przedewszystkiem powiat nieświeski z wsiami: Siniawką, Zabłotnikami, Haniewiczami i t. d. słynie z dobrych garncarzy. Do wypalania naczyń używają zwykłych piecy do gotowania strawy i chleba. Po wypaleniu zanurzają czerwone od ognia naczynie w kłajstrze, naskutek czego naczynia okrywają się jakoby czarnymi piętami. Stanowi to swego rodzaju oryginalną dekorację, gdzie indziej niespotykaną. Takie właśnie dwa naczynia można było podziwiać w pokazie. Kształt naczyń jest archaizujący.

Szeregu ciekawych okazów dostarczyły Iwieniec (w Nowogródzkim) i Mir.

Z Iwieńca przesłano:

1) garnek jajowaty, z oliwkową polewą szklistą,

2) dzban zdobiony pośrodku linią falistą, z której na dół i w górę wyrastają gałązki, oraz

3) czarki.

Z Miru (pow. nieświeski) wystawiono:

1) dużą, dymioną czarę,

2) małą czarę,

3) dymiony dzbanek.

Czara o charakterystycznym kształcie jajowatym z wywiniętym brzegiem, o linjach szlachetnych, w archaicznej formie, odznaczała się ornamentacją linii falistych.

Czarę małą na nóżce, z oryginalnym brzegiem, ostro wywiniętym, ozdabiano rodzajem jodełki wyciskanej patyczkiem w miękkiej glinie. Lekka horyzontalna wypukłość poniżej brzegu i ornament palcowy, powstały z wyciskania, palcem okrągłych wgłębień od zewnątrz, które z wnętrza tworzą wypukłe guzy. Mir posiada swój cech garncarski o tradycjach dawnej Polski z starszym cechu na czele, Filipem Karpowiczem.

Przechodzimy do działu wołyńskiego. Miasto Ostróg, stary, liczny ośrodek garncarski walczy dzisiaj z trudnościami zbytu w pasie

pogranicznym, co hamuje dalszy rozwój garn­carstwa. Naczynia ostrogskie posiadają dobrze dopełniające się kształty, wartość ich zdobni­cza jest dyskretna, a techniczna dość wysoka. Oglądaliśmy: 1) talerz głęboki, zdobiony linią falistą, 2) naczynko na wysokiej nóżce, z kry­zą, o brzegu delikatnie fryzowanym, i 3) dzban­nek większy, z pobiału, zdobiony na szyjce.

Województwo warszawskie mimo rozwoju przemysłu fabrycznego do dziś dnia ma jeszcze swoje ośrodki garncarskie mogące pochwalić się piękną kartą historyczną. Stare kroniki wzmiankują o eksporcie garnków do Gdańska i wynikających stąd opłatach cła wodnego. Naczynia są przeważnie użytkowe, a wśród garncarzy współczesnych wyróżnia się zaszczyt­nie wdowa Matlińska.

Było więc z Płocka naczynie ze szkliwem oliwkowym, nakrapiane na kolor zielono-bru­natny, dalej zaprezentowały Płock trzy dzban­ki i koszyczek gliniany do zawieszania. Zwracała uwagę kropielnica z krzyżem. — Mława dostarczyła: 1) wazy z nakryciem z żółtej glin­ki, 2) misy o wygiętym brzegu i 3) dzbanka z zielonkawym szkliwem. Piece do wyrobu tych naczyń to wysokie kopolaki w kominie domu.

Koźminek nadesłał naczynia z polewą brą­zową, a więc:

1) dzban z jasno-brązowym szkliwem,

2) kropielniczkę ciem­niejszą i

3) skarbonkę.

Z zrozumiałą cieka­wością zbliżamy się do działu łowickiego, któ­ry reprezentuje Bolimów, miasteczko spalone pod­czas wojny. Bywało da­wniej w Bolimowie wielu garncarzy, obecnie jest ich tylko trzech. Z boli­mowskich wyrobów po­dziwialiśmy:

1) misę głęboką z sza­rawem szkliwem zdo­bioną na dnie kwiatem sty­lizowanym w kolorze nie­bieskim;

2) małą miseczkę z or­namentacją roślinną;

3) dzban z szkliwem szaro-białym i orna­mentem roślinno-figuralnym, oraz

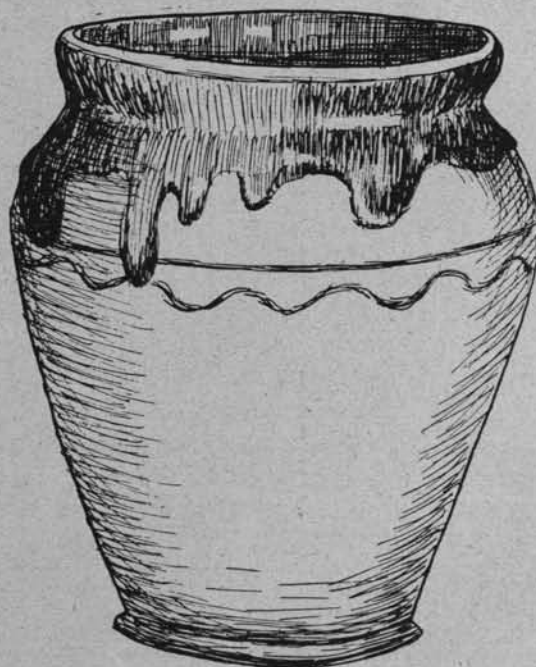
4) małe naczynka polewane brązowym szkli­wem.

Łowicka ceramika odróżnia się śmiałością koncepcji, dobrem rozplanowaniem ornamenta­cji na płaszczyznach i aspiracjami artystycznymi, z pewnym świadomym odchyleniem się od prymitywizmu.

Wreszcie zaznajamiamy się z wyrobami kie­leckimi, przede wszystkim z Iłży. Wazy, cza­ry i dzban z szkliwem brązowym i żółtem da­je o ceramice tej pewne pojęcie. Najciekaw­szym pokazem w tej grupie to naczynko z wy­winiętym brzegiem, na nóżce, z oryginalnym, przystającym uszkiem w kształcie węzła o długim końcu. — Kieleckie garncarstwo cie­szyło się niegdyś dużym wzięciem, co stwierd­zają kroniki. Eksport przez Gdańsk do Szwecji zapewniał garncarzom duży zbył. Dla kie­leckiego garncarstwa specjalnie charaktery­styczne są ozdoby nakładane na wierzch na­czynia. Ornamentacja ta jest dość bogata z pre­stensjami do swoistej elegancji.

Opis ceramiki ludowej na P. W. K. odno­si się do sali ostatniej pokazu Przemysłu Lu­dowego, gdzie wśród stroju i sprzętu rozmiesz­czono dekoratywne szeregi pięknych okazów.

Specjalnie w sprawozdaniu niniejszem chcia­łam zwrócić uwagę na działalność warsztatu in­struktorsko-doświadczal­nego z Wiśniewa pod Warszawą i umiejętną segregacją przedmiotów przeprowadzaną przez p. W. Szrajberównę. Dołą­czane do każdego typu ceramicznego wskazówki teoretyczne ułatwiały or­jentację zawierając naj­ważniejsze dane o pew­nym ośrodku garncars­kim, o wartości i powsta­waniu przedmiotów. Licz­nie zwiędająca pokaz ten publiczność miała sposobność poznania pol­skiej ceramiki ludowej.



Ryc. 232

Ceramika iłżecka. Rys. Ludomiła Kusztołan.

Dr. B. Stelmachowska.

Z KRAJU I ZE ŚWIATA.

Przegląd muzealny. W artykule „Na płocim Mazowszu” w „Kurjerze Warszawskim” (nr 112 z 25. IV b. r.) w barwnych słowach kreśli Julian Podoski działalność i zasługi Tow. Naukowego w Płocku, szkicuje jego dzieje i obecną ruchliwość. Oczywiście porusza także sprawę zbioru bibliotecznego i muzeum, należącego do Tow. zostającego pod kierownictwem pp. Stefana i Heleny Rutskich. Z dziejów muzeum warto przytoczyć, iż zaczątki jego sięgają 1820 r. t. zn. daty założenia Tow. Naukowego Płockiego. Niewiadomo, czy pierwszy prezes ks. biskup Adam Prażmowski i sekretarz Kajetan Morykoni byli pierwszymi polskimi regionalistami. Że jednak byli tęgimi regionalistami i na przeszło sto lat przed współczesnym prądem ułożyli program badań naukowych typowo regionalny to pewna. Zadaniem T. N. P. było „przy powszechnej pomocy wystawić obraz województwa płockiego, ukazując dawną świetność ziemi płockiej, jej odrodzenie się, nadzieje, byt i potrzeby mieszkańców”. Jak daleko szedł ten program, świadczy kwestjonariusz, rozesłany do wszystkich miejscowości Mazowsza płockiego i żądający „ściślych urzędowych wiadomości i cyfr” o geografii i statystyce, rolnictwie, przyrodzie, sportach technologicznych, meteorologii, ludoznawstwie i kulturze. Szczególny nacisk położyło T. N. P. na korzystanie z dawnych opisów kraju, dziejopisarstwa, miejscowych aktów, rękopisów prywatnych, ksiąg kościelnych, genealogii, napisów na budowach, pomników, obrazów, rzeźb, wreszcie z podań „choćby gminnych”, pieśni i podobnych śladów dawnych zdarzeń. Jednym z pierwszych nabytków muzealnych było słynne znalezisko monet w Trzebuniu, opracowane przez Joachima Lelwela.

W tym samym dzienniku (nr. 65 z 7. III b. r.) Witold Bełza w „Kronikach bydgoskich” informuje nas o Muzeum Miejskim w Bydgoszczy, istniejącem od pięciu lat. Posługując się słowami autora artykułu jest to jedna z tych instytucyj, która wyrosła nagle i niespodziewanie, i mało kto zdawał sobie sprawę, jakimi środkami powołano ją do życia. Inicjatorami są ks. Klein i dr. Łabendziński. Zaczęło się od skromniutkich zbiorów archeologicznych z czasów zaboru, zdobycia lokalu i przybicia tabliczki o godzinach otwarcia. Dziś dzięki ofiarności — bo dotacja miejska jest śmiesznie mała i bywała wielokrotnie wymawiana i podważana — posiada Muzeum Bydgoskie obrazy wybitnych naszych malarzy, zbiory grafiki, stare rzeźby drzewne, fragmenty kamiennych, zbior

ry prehistoryczne, średniowieczną ceramikę, zbiór broni i sztandarów, trochę numizmatów, zabytki po dawnym bydgoskim mieszczaństwie, pamiątki cechowe i aparaty kościelne. Dział przyrodniczy i etnograficzny jest jeszcze niewielki. Dużą zasługą instytucji jest urządzenie 39 wystaw w ciągu pięciu lat. Bierze zatem Muzeum żywy udział w kulturalnym miejscowym ruchu i miasto ma mu niejedno do zawdzięczenia. Mimo tego budżet miejski traktuje tę instytucję jak kopciuszka, ogólne zaś warunki pracy nie są zachęcające. Jak wszędzie największą bolączką jest sprawa odpowiedniego gmachu.

Obecny lokal jest ciasny i ciemny, na wystawę zbiorów wcale się nie nadaje. Podobno jest nadzieja, iż przy remoncie gmachu zostaną uwzględnione potrzeby Muzeum i że przez to chwilowo zaradzi się nękającym troskom.

Juljusz Zborowski.

Powrót żubrów do Białowieży. Radość, która ogarnęła ogół społeczeństwa na wieść o powrocie królewskiego zwierza do królewskiej puszczy, odbiła się szerokim echem w całej prasie polskiej. Raz przynajmniej — bez względu na polityczne różnice — przyklątnięto czemuś zgodnie i jednomyślnie.

Dla ścisłości zaznaczyć należy, iż i tu — jak zawsze u nas — musiał się znaleźć ktoś ze swoim niefortunem „liberum veto”, ale to już u nas zjawisko nieuniknione.

Cztery sztuki żubrów (dwa byki i dwie krowy) przewiezione zostały do dziewiczego ostępu puszczy, do ogrodzenia obejmującego 30 ha. Niefachowcom mogłoby się wydawać, iż to niewielka przestrzeń. Otóż przestrzeń to największa, na jakiej w dzisiejszym stanie rzeczy można trzymać żubry, według opinii najznakomitszych dziś na świecie znawców sprawy żubrzej, którzy w tym duchu wypowiedzieli się na międzynarodowym zjeździe żubrzym w Poznaniu. Dopiero stopniowo w przyszłości możnaby myśleć o rozbudowie tego ogrodzenia.

Matecznik żubrowy ogrodzony jest wspólnie zwartym parkanem dwumetrowej wysokości. W ogrodzonej przestrzeni jest i ostęp dziewiczy i łąki i woda źródłana i piaszczyste wzgórze, niezbędna dla żubrów do tarzania się w piachu i trochę błota, gdzie mogłyby latem opędzać się od dokuczliwych much.

Straż łowiecka, złożona z dawnych strażników puszczy, dobrze obeznanych praktycznie z hodowlą żubra, czuwa dzień i noc nad bezpieczeństwem królewskiego zwierza. Żubry

poprawiają się z dniem każdym coraz lepiej: służy im pobyt w rodzimej puszczy.

Mamy dziś zatem w puszczy cztery sztuki, w Warszawie cztery sztuki (chwilowo), z których jedna jest własnością Ogrodu Zoologicznego, dwie — Ministerstwa Rolnictwa i jeden byk — Ogrodu Zoologicznego w Poznaniu; w Poznaniu—2 sztuki i w Pszczynie 6 sztuk. Razem zatem 16 sztuk! Jest to już poważna ilość. Do rozplodu dopuszczone będą, oczywiście, tylko byki pełnej krwi, nad czym „miarodajne czynniki” troskliwie czuwają.

Żubr na ziemi polskiej jest dziś najwspa-

nialszym pomnikiem minionych czasów. Czy tylko „minionych”? Sądzę, iż i teraźniejszych i, miejmy nadzieję, przyszłych. Pogląd, że żubr — to stworzenie, które w bliskim czasie musi zginąć, okazał się fałszywy. Żubra można jeszcze uratować, tak jak uratowaliśmy od zagłady łosia i bobra. Nie zapominajmy, że i bizon amerykański, który dziś tak się rozmnożył, był niedawno zwierzęciem ginącym. Dla chcącego niema nic trudnego. Chcemy odrodzić i odrodzimy żubra w Puszczy Białowieskiej!

Juljan Ejsmond.

SPRAWY TOWARZYSTWA.

Z uroczystości nad Wigrami. Na ręce Prezesa Oddziału Suwalskiego p. Antoniego Naumowicza nadeszły z powodu uroczystości poświęcenia Schroniska nad Wigrami listy i depecze gratulacyjne, dowodzące zainteresowania się nową placówką.

P. Sławomir Czerwiński, Minister W. R. i O. P. napisał: „Nowej placówce kulturalnej na pięknej Ziemi Suwalskiej przesyłam w dniu otwarcia życzenia pomyślnego rozkwitu”. Tu wspomnieć trzeba, że p. Minister, podówczas Członek Komisji, dysponującej kredytami na cele turystyki młodzieży, uznał schronisko nad Wigrami za konieczne, a realizację powierzył Polskiemu Towarzystwu Krajoznawczemu.

„Przez wybudowanie na Wigrach schroniska ułatwiono poznanie naszej pięknej Suwalszczyzny. Niech żyją inicjatorzy i twórcy budowy, cześć im oraz wdzięczność”, pisze p. Butkiewicz z Warszawy, a pp. Adamowiczowie z Łodzi podają: „życzymy aby Schronisko przyczyniło się do poznania pięknej kochanej Ziemi Suwalskiej”. P. Senator Roman, nie mogąc się wybrać osobiście z powodu Zjazdu Prawników, pisze: „przyjmijcie, Szanowni Panowie, życzenia, aby nowootworzone Schronisko spełniło swe ważne zadanie jak najszerzej propagandy piękna Ziemi Suwalskiej. Cześć inicjatorom i wykonawcom tego pożytecznego dzieła”. Nasz Członek



Ryc. 235.

Wigry. Uroczystość poświęcenia schroniska krajoznawczego im K. Kulwiecia.



Ryc. 234.

Honorowy, tyle zasłużony czcigodny p. Bernard Chrzanowski pisze z Poznania: „przesyłam serdeczne życzenia, aby nowe Schronisko nad Wigrami gościło w przyszłości pod swym dachem setki młodzieży z całej Polski, któreby wspominały z wdzięcznością wielce zasłużonego p. Kazimierza Kulwiecia i Towarzystwo Krajoznawcze”.

Miłe wyrazy życzliwości nadeszły bratnie zrzeszenia: Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, oraz Syndykat Turystyczny w Warszawie. Pierwsi piszą: „W imieniu Głównego Zarządu Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego i własnym przesysłam najserdeczniejsze życzenia z powodu otwarcia Schroniska imienia Kulwiecia, Czerwiński”. Syndykat zaś: „Korzystamy ze sposobności wyrażenia W. Panom swego podziwu dla Ich tak owocnej pracy, której realnym i pozytywnym wynikiem jest stworzenie tak potrzebnego Schroniska w pięknej okolicy nad Wigrami. Prezes Syndykatu Dr. G. Dobrucki, Dyrektor Zarządzający K. Krzysztofowicz”. Konserwator Generalny, Członek Rady Głównej P. T. Krajoznawczego—Touring-Klubu Prof. Jerzy Remer, zajęty

w tak daleką podróż nad Wigry wysłać swoich Delegatów.

Niech żałują, bo uroczystości nad Wigrami były bardzo miłe i serdeczne, pogoda uroczna, a ludzie kochani. Dusza obchodu p. prezes Naumowicz, jego dzielny pomocnik p. Asektor Sądowy Rodziszkievicz, Ks. Proboszcz Dąbrowski, p. Starosta Malinowski i dzielna ofiarą Pani Starościna Malinowska, p. Generał Waraksiewicz i Jego Małżonka, która, przeciąwszy wstęgę, otworzyła podwoje Schroniska, p. Major Bogusławski i reszta gości zebranych, to byli tak mili ludzie, że ich obecność nadała obchodowi wybitnie serdeczny nastrój.

Czemużeście pominęły uroczystość, o leniwe Oddziały Krajoznawcze? A jam Was szukał, szukał naokół...

Opracowany przez p. Kulwiecia odczyt o jeziorze Wigierskim będzie wkrótce podany w „Ziemi”.

Al. Janowski.

Na odnowienie domu Długosza w Sandomierzu. W myśl odezwy autora (g) otwieramy rubrykę składkową na cel powyższy: (g) . . . zł. 10.— R. D. F. zł. 5.—

Prosimy o uregulowanie prenumeraty za kwartał IV.

TREŚĆ: *Ludwik Sawicki:* Notatki krajoznawcze z terenu obecnej Nowogródzczyzny. — *Dominik Binder:* Głazy mówią. — *Juljusz Zborowski:* Sabałowa Śpiewka. — *Aleksander Janowski:* Ś. p. Helena Cichowiczowa. — *Włóczęgi Krajoznawcze* opowiadają... — Z Powszechnej Wystawy Krajowej. — Z kraju i ze Świata. — Sprawy Towarzystwa. — *Do dat ek.* Wiadomości Konserwatorskie: — *Stanisław Lorentz:* Konserwacja ruin zamków w Trokach. — Kronika.

Cena niniejszego zeszytu zł. 1.40

Redakcja i Administracja w Warszawie, ul. Karowa 31, tel. 42-50.

Kedaktorka: Dr. Regina Danysz-Fleszarowa. Wydawca: Polskie Towarzystwo Krajoznawcze.

Druk. Jan Świętoński i S-ka, Warszawa, Kopernika 34, Tel. 407-50